

Tomasz Burek: Sprawiedliwy w Sodomie

Narażając się na ryzyko towarzyskiej kompromitacji, odważyć się wyrazić pogląd, że pierwszą, niecierpiącą zwłoki lekcją, jaką nam przekazuje Herbert językiem swej poezji, konsekwentnie i nieustępliwie, jest: Lekcja miłości ojczyzny – pisał Tomasz Burek po śmierci Zbigniewa Herberta. W „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Herbert. Obrońca polis” przypominamy ten tekst.

Zbigniew Herbert odszedł między Wysokie Cienie. Umęczony długotrwałą chorobą, przygotowywał od kilku lat, a zwłaszcza w ciągu kilku miesięcy minionych, siebie, swoich bliskich, czytelników i przyjaciół, na to odejście. W zbiorze wierszy układanym, dosłownie,

w otwartych drzwiach Wieczności, i któremu nadal tytuł *Epilog burzy* – przeczuwając bliski koniec, prowadził ostatnią rozmowę z samym sobą i zamykał rachunki ze światem. Już przywoływał imiona drogich zmarłych, jak gdyby chcąc odnowić swoje z nimi przymierze. Kierował też dziękczynienia i suplikacje ku Panu życia i śmierci.

Kiedy przed dwoma miesiącami, 25 maja, aktorzy Teatru Narodowego zaprosili nas na wieczór poetycki Zbigniewa Herberta, podług wskazówek nieobecnego na widowni Autora skomponowany, to w części pierwszej, prezentującej wybrane przez Herberta samego utwory mistrzów dawnej poezji polskiej, mogliśmy usłyszeć po Kochanowskim,

Karpińskim, Słowackim, a przed Gajcym i Baczyńskim – Norwidowy *Bema pamięci żałobny rapsod* w genialnym wykonaniu Teresy Budzisz-Krzyżanowskiej. Nie muszę mówić, jakiego rodzaju wzruszenie ogarnęło słuchaczy, gdy wysnuły się, gdy padły już te pierwsze słowa rapsodu: „Czemu, Cieniu, odjeżdżasz...”, i jak przedziwnie zgodził się wyjątkowo podniosły ton Norwida z prozaicznym tokiem *Sowińskiego w okopach Woli* i takimi odezwaniami bohatera tego wiersza – powstańczego generała, starego i utykającego (jakby nie migotliwe pióro Słowackiego te odezwania formułowało):

*Więc śmierci szukać nie mogę,
Ale jej tu dobrze czekam.*

Dalej:

*Nie klękajcie wy przede mną
Bo nie jestem żaden święty.
Ale Polak jestem prawy...*

Czuliśmy w ten wieczór i dorozumiewaliśmy, słuchacze i recytatorzy, którym towarzyszył nagrany na taśmę głos Herberta, że poprzez swoje i cudze wiersze, głosem jeszcze żywym oraz głosami poetów umarłych, całym układem programu przekazuje nam Herbert pożegnanie i ostatnie ze swoich ważnych przesłań. Być może najważniejsze.

Chciał Herbert śmierci dobrze czekać. Co to znaczyło?

Jako poeta ustalał swego dzieła kanon, szczyt i miarę, wyselekcjonowany rozważnie wybór – w książce *89 wierszy*. Tutaj właśnie, odstępując od zasady chronologicznej, przetasowując i zestawiając wcześniej publikowane utwory trochę inaczej, uwydatniał organiczny porządek wszystkich swoich dokonań poetyckich, destylował esencje. Gdzie indziej dopisywał zakończenia większości spraw swoich i sporządzał testament: mam na myśli *Epilog burzy*.

W przedsięwzięciu porządkowania dzieła na przekór bałaganowi i bezhołowi egzystencji (w wymiarze zarówno ściśle prywatnym, jak powszechnym) wspomagała poetę do pewnego stopnia krytyka. Należy tu mieć na uwadze przede wszystkim tom *Poznawanie Herberta*, gromadzący najbardziej znamienne, wedle edytora, interpretacje tej twórczości od 1955 roku aż do dzisiaj. Przygotował powyższą antologię Andrzej Franaszek. On jest również autorem dociekliwej książki o twórczości Herberta pod tytułem *Ciemne źródło*. Z kolei w „Arcanach” (nr 20 ogólnego zbioru) zwraca uwagę szkic Macieja Urbanowskiego *Substancja* – wnoszący do wiedzy o Herbercie myśli i ujęcia merytorycznie świeże. Urbanowski i Franaszek reprezentują stosunkowo młode pokolenie krytyków. Zaś wymienione prace ukazały się wiosną roku bieżącego i Herbert mógł się zapoznać z nimi.

Jeśli starczyło mu cierpliwości i siły, ażeby przejrzeć zestawione przez Franaszka spisy prac krytycznych, jakie poświęcono jego twórczości, przekonywał się, iż było tego niemało: ponad 300 pozycji bibliograficznych (wybranych). Wolno domniemywać, że w związku z rozpasaniem i nadużyciami interpretacyjnego komentarza,

ignorującego dziś nagminnie dzieło badane, nurtowały poetę różne niepokoje i wzbierały w nim chichoty, skoro do *Epilogu burzy* włączył wiersz pt. *Co mogę jeszcze zrobić dla pana*, z następującym ustępem:

*strach pomyśleć
co może uczynić
czytanie spuszczone z łańcucha
szkoła pisania
nie zadowolająca się konstatacją
że wszystko z wody
albo wszystko z ognia
a nie drukiem
zaostrzonym dziobem pióra
w teczkach*

No właśnie.

Więc co mogę jeszcze zrobić dla Zbigniewa Herberta na drugi dzień po pogrzebie, to spróbować starannie odczytać jego kanon: wspomniane *89 wierszy* w wyborze i układzie Autora. Odczytać nie według wydumanych założeń, ale według porządków przez poetę im nadanych. Książka dzieli się na pięć części, które będę nazywał też Księgami. W tych pięciu Księgach albo Porządkach zawiera się świat wszystek Herberta.

Księga pierwsza ma za swój główny przedmiot „prostackie tryby historii”, innymi słowy – jak to później poeta objaśni w *Elegii na odejście pióra atramentu lampy* – ma za temat:

*monotonną procesję i nierówną walkę
zbirów na czele ogłupiałych tłumów
przeciw garstce prawych i rozumnych*

Jest to zatem historia polityczna w wydaniu dwudziestowiecznym, ktoś mógłby zgadywać. Owszem, ale jest to również historia niezależna od czasu i miejsca, monotonna, mimo różnej scenerii, repetycja najazdu, podboju, daremnego zazwyczaj oporu bezbronnych, ich masakry. Jest to w końcu metafizyka. Historia tych tutaj, na polskiej i europejskiej ziemi przeżytych, dopustów, metafizyka „czasów drugiej Apokalipsy”: września roku pamiętnego – wiersz *17 IX*, Katynia i innych miejsc podobnej kaźni – *Guziki*, hitlerowskiej i sowieckiej okupacji – *Nasz strach*, Powstania Warszawskiego – *Prolog*, tragedii akowskiej – *Przebudzenie*, oczernionych straceńców z leśnej partyzantki antykomunistycznej – *Wilki*, zdławionych powstań narodowych – *Węgrow*, długich jak wieczność wojen, oblężeń, wygnań, emigracji – *Raport z oblężonego Miasta*. Zarazem ponadczasowych (bo powtarzalnych w czasie) dziejów zagłady jest to metafizyka *Longobardowie*, *Posłaniec*.

Można by sądzić, że w Herbertowskim obrazie historii jako monotonnego pochodu żołdaków, zabójców, wyznawców nicości: „Wyprostowani idą z północy bezsenni / Prawie ślepi”, *Longobardowie* w VI stuleciu, niepoliczone gwardie, patrole, bojówki za naszej pamięci, że w tym obrazie, zimnym i złowieszczym, nie znajdzie się szczelina dla nadziei. Jednak nie jest aż tak katastrofalnie źle i czarno. Herbert ukazuje na rozmaitych przykładach, że opór się opłaca. W jego wierszach zawsze gromadzą się nocą spiskowcy wolności, jakaś panna Corday zawsze wymierza sprawiedliwość jakiemuś Maratowi,

niepokorni zawstydzają uległych, aż któregoś dnia rwą się tryumfalne pochody Rzymu, głuchną bębny Rewolucji, ustaje Wielki Terror: jeszcze chwila „i runie imperium” (jak w pięknym wierszu *Przemiany Liwiusza*).

Poezja Herberta w latach „trudnej Polski” (określenie bp. Zawitkowskiego) podtrzymywała słabnącą nadzieję. Przynosiła sprawdzoną doświadczeniem powszechnym wiedzę o nietrwałości, zmierzchu i upadku historycznych potęg. Tych potęg opartych na zbrodni i szalbierstwie, tych systemów, które ludziom małej wiary zdawały się wieczne. Taka prawda przez lata i lata rozpowiadana ściszym z konieczności głosem, nie oślepiała nikogo wizją promiennego jutra – radosną fanfarą wolności. Przeciwnie. Zachowała walor trzeźwego świadectwa o obecności, uporczywej i prawdopodobnie nieusuwalnej, pierwiastków zła w świecie, przemocy w dziejach, okrucieństwa w sercach, grzechu wśród ludzi.

Oczywiście nie przez przypadek na początku *89 wierszy* znalazł się *Postój*. Tu umieszczony ręką nieomylną, spełnia rolę wprowadzenia zarówno do Księgi pierwszej, jak do całego tomu. Narzuca całości melodię i myśl przewodnią. Podany w stylu oszczędnego sprawozdania, relacji, suchej kroniki faktów, jest *Postój* jakby urywkiem monologu bezimiennego, odpoczywającego przy stole biesiadnym wojownika, strzępem pisanego w przerwie zajęć wojennych listu, a może epizodem wyjętym z kroniki oddziału. Mógłby z powodzeniem się znaleźć w *Dzienniku kampanii wrzesniowej roku 1939 w Polsce* kapitana Wehrmachtu i zarazem pisarza Ernsta Jüngera, albo w *Dzienniku 1920* zmierzającego z Armią Konną Budionnego na podbój Warszawy (i Europy) Izaaka Babla, też pisarza. Gramatyczną formę wypowiedzi stanowi pierwsza osoba liczby mnogiej, anonimowe „my” armii w

pochodzie. Najeźdźcy wkroczyli oddziałem do miasteczka, przed chwilą wieszali tubylców w celu złamania ich oporu bądź dla postrachu po prostu (widzieć da się „pagórek szubienic”) i rozstrzelowali („na murze gęste bluszcze egzekucji”), zaś teraz rozsiedli się obok gospody w ogrodzie, triumfatorzy, aby jeść dużo („jak zawsze wtedy kiedy nikt nie płaci”) i napawać się słodyczą wieczoru. Kilkoma zaledwie kreskami został przeto wydobyty wbrew woli przez fikcyjnego narratora *Postoju* zbiorowy autoportret najeźdźców, potwierdzony ich status, ujawniona moralna kondycja. I już wiemy wszystko. Już się domyśliliśmy, że fałszywy koncert grają „świerszcze w lebiodach wieczoru”, że tam nie ma sielanki, harmonię wyparł dysonans, i że opis kronikarza nie oddaje prawdy miejsca i momentu, zamazując obojętną rzeczowością czy też wtrętami estetyzmu grozę rozlanej krwi i bezgłośnie krzyżące nieszczęście. Temu to przemilczanemu nieszczęściu ludzi, miast, narodów pozwolił Herbert mówić w swoich wierszach.

W drugiej części *89 wierszy* prostackie tryby historii zastąpi porządek mitu, legendy i przypowieści, ale kształt Herbertowskiego świata niewiele się zmieni. Damastes z przydomkiem Prokrustes będzie uzasadniał swe zbójce praktyki teoriami antropometrycznymi („w istocie byłem uczonym reformatorem społecznym”), uważając wymyślone przez siebie łoże tortur za placówkę eksperymentalną w szczytnej służbie postępu. W czym Damastes gorszy od współczesnych Herbertowi oprawców, którzy zostawali naczelnikami w instytucjach wydawniczych? W czym różny od intelektualnego potomstwa Nietzschego i Marksa, od wynaturzonych humanistów, którzy poczytywali sobie za zasługę fakt, że „myślą młotem”? Damastes – prekursor. Jak z drugiej strony Arijon – helleński protoplasta rozwijającej się w XX wieku nader pomyślnie masowej sztuki różowej:

*o czym śpiewa Arijon
tego dokładnie nikt nie wie
najważniejsze jest to
że przywraca światu harmonię*

W Księdze trzeciej przygląda się Herbert wzajemnie się wykluczającym właściwościom ludzkiej natury, w czwartej staje przed problemem tożsamości, w ostatniej – rozmyśla o użyteczności (praktycznej bądź filozoficznej) piękna i wyobraźni. Nie zdążę, nawet w ten cały długi dzień i część nocy, dobrze przeczytać wielkiego kanonu Herberta.

Wypowiedziano wiele głośnych słów po śmierci poety. Ty jednak weź go sobie naprawdę do serca. Zanim uczynisz jutro rzecz niegodziwą, zawahaj się, cofnij, opamiętaj. Poezja Herberta patrzy na ciebie „okiem spokojnym bardzo jasnym”.

Herbert nie na czasie?

Całe dzieło poetyckie Zbigniewa Herberta zmieściło się w dziewięciu niepokąźnych zbiorach wierszy. Oto ich tytuły przypomniane w porządku chronologicznym: *Struna światła* – 1956; *Hermes, pies i gwiazda* – 1957; *Studium przedmiotu* – 1961; *Napis* – 1969; *Pan Cogito* – 1974; *Raport z obłąkanego Miasta* – 1983; *Elegia na odejście* – 1990; *Rovigo* – 1992; *Epilog burzy* – 1998.

Łatwo zauważyć, iż tylko trzy spośród wymienionych tomików łączą się datami swych edycji z okresem wykluwania się nowej, współczesnej nam Polski, zdecydowana natomiast większość należy do czasów Peerelu. Można by więc domniemywać, że nie mało dawnych wierszy tego poety, zwłaszcza sławnych wierszy, tych, którym przyszło kiedyś odegrać znaczną rolę w rozbudzeniu słabnącego wśród warstw inteligentkich ducha oporu przeciw panowaniu komunistycznemu w Polsce – obecnie straciło swą nośność. I że pouczenia z dziedziny politycznej moralności w nie wpisane (jak chociażby tylko to jedno: „nie przebaczasz zaiste nie w twojej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świecie”) stanowią przesłanie ambarasujące z punktu widzenia elit, a jakże, zatroskanych o zdrowie naszej nieopierzonej demokracji. Że tym samym okazały się zbiorem maksym z innej (jakoby grubą kreską odkreślonej, etycznie przekroczonej) rzeczywistości.

Owszem, zmieniła się postać świata i czas odmienił swe oblicze. Sądzę jednak, że pomimo to – a może właśnie dlatego – Herbertowski, na szereg wierszy rozpisany, „poemat o doli ptaków w srogich czasach”, Herbertowska mądrość cała wyniesiona spod obucha totalitaryzmu, świadectwo udręki, ale i suwerenności, godności ducha, że to wszystko nie tylko zachowało dla nas pełną wartość, ale też nabrało szczególnie dziś, w dobie rozchwiania tradycyjnych zobowiązań i tożsamości, jeszcze większego znaczenia. Narazając się na ryzyko towarzyskiej kompromitacji, odważę się wyrazić pogląd, że pierwszą, niecierpiącą zwłoki lekcją, jaką nam przekazuje Herbert językiem swej poezji, konsekwentnie i nieustępliwie, jest:

Lekcja miłości ojczyzny

Otóż jak się idzie za Herbertem krok po kroku, od wiersza do wiersza, spostrzega się tę godną podziwu konsekwencję poety, ciągłość emocji, wzruszenia, stały choć dyskretny zazwyczaj, nieostentacyjny nacisk, z jakim przyświadcza on wartościom objętym nazwami ojczyzny i narodu. Przyświadcza tym wartościom zarówno wtedy, gdy, w pojedynkę lub wraz z innymi śmiałkami, porywa się do walki z obłudą i bestialstwem władzy nieludzkiej Wschodu, jak i wtedy, gdy szuka osłony przed pyskiem potwora nicości frywolnie się doń szczerzącym z centrów owładniętej samobójczym hedonizmem, upadłej, nowożytnej kultury Zachodu.

Im wyższy stopień widmowości, desubstancjalizacji, odrealnienia rzeczywistości, czyli masowego w stuleciu dwudziestym zaburzenia równowagi spowodowanego z jednej strony przez „diabelską sieć dialektyki”, w jaką się uwikłały niepohamowane bunty radykałów, a z drugiej przez urojenia i uroszczenia ideologiczne wyznawców nieograniczonej niczym przyjemności, im zatem większy stopień zagrożenia rozpadem tożsamości, nieokreślonością, wydziedziczeniem, wynaturzeniem wszystkich razem i każdego z osobna, tym więcej zyskuje na wadze i znaczeniu wspólna jawa, którą naród, między innymi bytami, stanowi, ojczyzna w jej regularnie jak morze powracającej, nieodpartej realności, przywiązanie do miejsca, czuwanie przy wspólnych dziejach i grobach, kult pamiątek. Tym więcej zyskuje – „pierścień wierności” (Patrz: *Pan Cogito o potrzebie ścisłości* i *Raport z oblężonego Miasta*).

Za tego rodzaju związki i przywiązania, względnie stałe, konkretne, głębokie, osobowe, mające w sobie pełnię dostępnej człowiekowi rzeczywistości doczesnej, warto płacić najwyższą cenę. Tak jak ma to

miejsce w stanowczej *Odpowiedzi* z tomu *Hermes, pies i gwiazda*, danej przed laty własnym zapewne pokusom i wahaniom (a być może także Miłoszowi), gdzie „wybór by pozostać tu”, w kręgu wspólnego świata „trudnej jawy”, ów wybór – potwierdza „każdy sen o palmach”, każda więc forma ucieczki w jakieś światy inne:

*helleńska rzymska średniowieczna
indyjska elżbietańska włoska
francuska nade wszystko chyba
trochę weimarska i wersalska
tyle dźwigamy naszych ojczyzn
na jednym grzbiecie jednej ziemi*

*lecz ta jedyna której strzeże
liczba najbardziej pojedyncza
jest tutaj gdzie cię wdepczą w grunt
lub szpadlem który hardo dzwoni
tęsknocie zrobią spory dół*

Surowa wzniosłość *Odpowiedzi* wynikała przede wszystkim z tragicznej atmosfery czasów, w których ten wiersz powstawał. Z atmosfery czasów pogardy i prześladowań, z atmosfery nazistowskiego i komunistycznego terroru. Równie sławny, lecz trochę późniejszy wiersz pt. *Rozważania o problemie narodu* – zamieszczony w tomie *Studium przedmiotu* – został o wiele mocniej nasączony znamioną nieraz dla Herberta tonacją sarkastyczną, ironią, powściągliwością, dystansem. To Herbert, który się waha. (Na pozór). Dociekając, gdzie w uczuciu narodowej przynależności „kończy

się wzmówienie / a zaczyna związek realny”. Ale i w powyższym utworze Herbert roztrząsa problematykę więzi narodowej w sposób niepozwalający wątpić o jego stanowisku. Deklaruje wprost:

*więc na koniec w formie testamentu
żeby wiadome było:
buntowałem się
ale sądzę że ten okrwawiony węzeł
powinien być ostatnim jaki
wyzwalający się
potarga*

Na czym wszakże miałyby polegać, wedle Herberta, wartość bezcenna, prymarna owego nie zawsze łatwego do przyjęcia, chwilami nawet problematycznego węzła? Interesującej odpowiedzi na to pytanie – odpowiedzi przez negację, polemikę, kontrast i karykaturę – udziela wiersz *Chodasiewicz* (z tomu *Rovigo*). Jest to wizerunek kogoś, komu właśnie nie dostawało zobowiązującej intuicji zbiorowego czuwania i kto duchowo sobie nie radził z problematyką narodu, „z tożsamością, ze wspólnotą, z korzeniami”. W konsekwencji:

*sam nie wiedział kim był – Chodasiewicz
i przez wszechświat od narodzin aż do zgonu
na wzburzonej fali płynął na kształt glonu*

Tedy prawem kontrastu należy rozumieć, że pozytywna więź z narodem i ojczyzną przynosi jednostce poczucie tożsamości, zakorzenienie, umocowanie we względnie stałym punkcie ruchomego wszechświata.

Nie jest to wartość do zlekceważenia dla kogokolwiek spośród zjadaczy chleba, którzy każdego dnia od nowa muszą stawić czoło metafizycznemu bezmiarowi. A już szczególnie wartość wspólnoty narodowej nie jest, nie powinna być do pogardzenia dla współczesnego poety.

Z pewnością związek realny z tą wspólnotą pociąga za sobą także rozliczne uciążliwości, wyrzeczenia i ograniczenia. Mówi się i o tym:

*każdy przyzna
że na barkach ciąży nam ojczyzna
mroczne dzieje atawizmy rozpacz*

Poezja wolna od wspomnienia „mrocznych dziejów”, wewnętrznie swobodna, niewątpliwie sprawniej maluje oblicze ziemi i śledzi za światłami niebios, ale też, pozbawiona hamulca pamięci wspólnotowej, ześlizgnie się niepostrzeżenie ku piekłom banalistycznej paplaniny. Herbertowi nigdy to nie groziło. Dość w jego poezji śladów najściślejszego porozumienia i przymierza z patriotyczno-niepodległościowym nurtem nieostygłych jeszcze dziejów Polski w tym stuleciu, głębokiej solidarności z ofiarami Katynia, z eposem Powstania Warszawskiego, ze straceńczym bohaterstwem zbrojnego podziemia antykomunistycznego w finale II wojny światowej i po niej. Pamięć Herberta przy pokonanych i poległych trwała wiernie od poezji najpierwszych (z tomu *Struna światła*) po te drukowane w ostatnim czasie życia, a wszystkie przejmujące: *Guziki*, *Wilki* (z tomu *Rovigo*) i *Piosenkę* (z tomu *Epilog burzy*).

Krytyka głosu wewnętrznego

Mówiąc innymi słowy: Herbert okazał się poetą posłusznym autorytetowi tradycji narodowej. I trzeba od razu powiedzieć, iż takie posłuszeństwo było rzadkim faktem we współczesnym świecie literackim. Dominował tu (na Zachodzie, ale długimi okresami również w Polsce) styl całkiem odmienny. Pozycję hegemonu wywalczyły sobie postawy określane mianem czy to awangardowych, nowoczesnych, czy to romantyczno-anarchiczno-liberalnych. I tę pozycję utrzymują nadal, dokonawszy przekształcenia kulturowego wzoru nowoczesności we wzór „nowy”, to jest ponowoczesny (ale tak samo albo jeszcze bardziej antytradycjonalistyczny, niż go stanowiono w granicach nowoczesności „starej”).

Nie wdając się w zawiłe rozróżnienia, postaram się znaleźć wspólny mianownik dla wymienionych postaw. Nieoceniony okaże się w tym przedsięwzięciu T. S. Eliot. On to bowiem już na początku lat dwudziestych zadziwiająco trafnie uchwycił istotę sprawy. Tak oto (w szkicu *Rola krytyki*) streścił koronny argument ówczesnych, i zarazem dzisiejszych, przeciwników liczenia się na terenie sztuki (i w życiu także) z zewnętrznymi, niepodważalnymi autorytetami duchowymi, z tradycją, z ustalonymi zasadami: „Po cóż jakieś zasady, jeżeli ma się głos wewnętrzny?”. I dalej, w myśl tychże „kopernikańskich” odkryć, przewracających, demolujących cały porządek wartości Zachodu: „Jeżeli coś mi się podoba, niczego więcej nie pragnę; i jeśli w dostatecznie liczonym gronie będziemy wspólnie krzyczeli, że to nam się podoba, tobie (któremu się to nie podoba) powinno to całkowicie wystarczyć”. No i skąd my to znamy? A jeszcze trochę dalej: „I nie tylko możemy lubić, cokolwiek nam się podoba, ale możemy to lubić z

dowolnych powodów”. Na deser coś o pierwszeństwie żywych ludzi przed zasadami, człowieka przed władzą lub tradycją...Podsumował to wszystko Eliot ironiczną parafrazą tytułu najgłośniejszej książki Fryderyka Nietzschego, która w jego wersji brzmi: „Tako rzecze Głos Wewnętrzny”.

W Herbercie uznawano od zawsze klasyka. To łatwe. Ale spróbujmy potraktować Herbertowski klasycyzm inaczej: jako narzędzie krytyki i sądu nad owym Głosem Wewnętrznym, który dziś dyryguje kulturą, który wdziera się wszędzie: do parlamentu, szkoły, rodziny, który niemal sforsował bramy kościołów, opanował estrady, media, piśmiennictwo, sztukę, zainfekował katedry filozoficzne, i który swymi majaczeniami, dywagacjami, swym brakiem zasad, swym monstrualnym intelektualnym cynizmem wystawił umysł laicki kończącego się wieku na hańbę i pośmiewisko.

Temu spektaklowi umierający Pan Cogito zadedykował swe ostatnie przesłanie.

*Wyniszczony narkotykami szalem spalin uduszony
spalony w gwiazdę płonąca goreje Super Nowa
trzech wieczorów – chaosu pożądania udręki
wchodzi na trampolinę zaczyna od nowa
karzełku naszych czasów gwiazdko zetlałych wieczorów
artysto z kóz stopą który przedrzeźniasz demiurga
jarmarczna apokalipsa o książkę lunatyków
skryj twarz nienawistną
póki czas jeszcze przywołaj Baranka wody oczyszczenia*

*niech wszędzie gwiazda prawdziwa Lacrimoso Mozarta
przywołaj gwiazdę prawdziwą krainę stulistną
niech ziści się Epifania otwarta jest Nowa Karta*

(Portret końca wieku)

Tomasz Burek

Tekst pochodzi z książki *Dziennik kwarantanny* wydanej przez Wydawnictwo Arcana w 2005 roku.

Autor grafiki: Michał Strachowski